

Dawid Juraszek

# **Twarzą w twarz, czyli sześć dni z (nie)pewnego życia**

*Pierwodruk w miesięczniku „Science Fiction, Fantasy i Horror”*

© Dawid Juraszek

[www.fantastykapolska.pl](http://www.fantastykapolska.pl)

1.

Kiedy Ł., mieszkający samotnie tłumacz, po wielu godzinach przyprawiających o ból oczu i głowy „kosmetycznych“ poprawek odkrył w dopiero co przesłanym automatyczną pocztą przekładzie pewien głupi acz znaczący błąd rzeczowy, o mało nie zemdlął ze strachu, że nie otrzyma honorarium i nie będzie miał jak opłacić wynajmu mieszkania na pięćdziesiątym piętrze apartamentowca hotelowego przy alei Powinności Ludzkości nr 9668 w Dystrykcie Silesia, gdzie mieszkał od lat, chwając sobie pełną obsługę, jaką zapewniał standard wyżej położonych pięter apartamentowych, obejmujący zrobotyzowane sprzątanie i dostarczanie zamówionych zakupów, a co za tym idzie, gwarantujący brak konieczności wychodzenia na zewnątrz oraz stykania się z ludźmi twarzą w twarz, i w panice poprawiwszy błąd, zaczął pisać mejla do firmy translatorskiej z przeprosinami i solenną obietnicą poprawy, pomijając jednak zrazu nagłówek, nie wiedział bowiem, czy napisać Szanowna Pani, Szanowny Panie czy Szanowni Państwo lub może jeszcze coś innego, by wreszcie wysłać mejl, w którym wbrew pokusie nie wspomniał o zaległym honorarium za poprzedni przekład, co sekundę później uderzyło go jak obuchem, bo nie uzupełnił w porę nagłówek, i byłby już na pewno zemdlął, wyobraziwszy sobie, jak to w firmie wezmą go za prostaka, gdyby nie brzęczyk u drzwi i buczący robot sprzątający, który zaraz po wpuszczeniu do mieszkania zabrał się za flegmatyczne usuwanie z podłogi czterodniowej warstwy kurzu, nanoszonego pomimo klimatyzacji z niedalekiego węzła drogowego i dwu konkurencyjnych fabryk energii, dzięki czemu Ł. ochłonął nieco i mógł już spokojniej czekać na odpowiedź weryfikatora z firmy, która nadeszła niewiele później i była pozytywna, co oznaczało, że na koncie Ł. niebawem pojawi się ładna sumka, jeśli oczywiście znów nie będzie opóźnienia, ale Ł. nie martwił się na zapas, tylko wydał z siebie okrzyk radości, podkreślając go wyrzuceniem ramion w górę, tak nieszczęśliwie jednak, że stracił równowagę na krześle i rymnął plecami o podłogę, roztrzaskując robota w drobny mak, co było katastrofą nie tyle z powodu kosztu automatu, ile nieuniknionej konieczności wyjaśnienia zajścia komuś z personelu, i to najprawdopodobniej w ramach kontaktu osobistego, która to perspektywa w jednej chwili zmieniła radość Ł. w strach, zaćmiewający jasność myśli i nie pozwalający załatwić sprawy od ręki, lecz nakazujący przespać się z problemem, co Ł. skutecznie nakładając natychmiast plastry nasenne, obawiał się bowiem, że ze zdenerwowania nie zaśnie.

2.

Obudził się nazajutrz około południa, z myślami ani trochę nie klarowniejszymi, a wręcz przeciwnie, bo plastry do reszty przyćmiły mu umysł, więc spędził popołudnie czekając w otępieniu, kiedy zastukają doń smutni panowie z obsługi, wpytując o zaginionego robota, aż wreszcie zgłodniał i podgrzewając gotowe danie zdecydował, że bierne czekanie ani bezpośrednio wspomnianie o zajściu, czy to mejlem, czy telefonicznie, nie jest dobrym wyjściem, gdyż narazi go tylko na nieprzyjemności, których może przecież uniknąć, jeśli napomknie o nieszczęśliwym wypadku mimochodem, obracając całą rzecz w żart, jak to często widział na filmach, więc zaczął szukać pretekstu i znalazł taki w postaci drobnego problemu z trójwizorem, któremu nawalały nieco projektory szerokości, wprowadzając nie domagając się pilnej naprawy, wystarczyło bowiem tylko lekko stuknąć w panel, aby trójwizja wróciła, ale szwankując dość, by posłużyć za okazję do zwabienia kogoś z obsługi, więc szybko wypełnił elektroniczny formularz prośby o interwencję serwisową i zdumiał się ogromnie, kiedy już po minucie przyszła odpowiedź, a po dwu rozległ się brzęczyk do drzwi, zaskakując Ł. kompletnie, nie zdążył bowiem jeszcze ostatecznie zdecydować, jak przywitać

technika, „Dzień dobry” czy „Dobry wieczór”, jako że chociaż dzień w sumie już się kończył, to ciemno się jeszcze nie zrobiło, ale ku uldze Ł. dylemat rozwiązał sam technik, wołając od progu „Dzień dobry”, co Ł. zmąłpował odpowiadając mu z kuchni, dokąd uciekł, ledwo odblokował drzwi, i podsłuchiwał teraz technika biorącego się do naprawy trójwizora, coraz bardziej się uspokajając, mężczyzna bowiem radził sobie doskonale sam, kiedy nagle Ł. został poproszony o skontrolowanie działania trójwizora i wszedłszy nieśmiało do pokoju, ujrzał coś, czego nie widział od lat, czyli dwie cudze nogi w jego apartamencie, dwie cudze nogi wystające spod trójwizora, tylko dwie i dość chude, ale wystarczająco namacalne, by wywołać u Ł. paraliż tak uporczywy, że dopiero po ponagleniu przez technika zdołał wydukać, iż trójwizja wróciła, po którym to wyczynie wrócił czym prędzej do kuchni, skąd kontynuował z mężczyzną rozmowę o zapłacie za naprawę, i choć kwota wydała mu się absurdalnie wysoka w porównaniu z kosztem stuknięcia w panel, bez oporu zgodził się doliczyć ją do miesięcznych opłat, byle tylko technik już sobie poszedł, co ku uldze Ł. wreszcie nastąpiło, więc już zaczął się rozluźniać, gdy dosłownie w kilka chwil po tym, jak za intruzem zamknęły się drzwi, uświadomił sobie, że zapomniał wspomnieć o zniszczonym robocie, i z gorzkim poczuciem całkowitej klęski sięgnął po plastry.

### 3.

Tym razem już od rana Ł. bił się z ociężałymi myślami, obmyślając plan załatwienia kwestii robota raz na zawsze, zaczął się bowiem poważnie obawiać konsekwencji przedłużania sprawy, więc nie zwlekał dłużej niż kilka godzin, nim wypełnił kolejny formularz, tym razem o manualne usługi sprzątające, i przygotował sobie nawet odpowiednie powitanie, kiedy po brzęczyku nieoczekiwanie rozległo się energiczne „Witam, witam!”, na co schowanego w kuchni Ł. zatkało, więc nie był w stanie zaprotestować, kiedy sprzątaczką sama skierowała się do łazienki, najbardziej osobistego sanktuarium Ł., do którego nigdy dotąd nie wpuścił nikogo, i zabrała się za bezceremonialne przestawianie wszystkich prywatnych sprzętów, by następnie nie słysząc sprzeciwu ruszyć do sypialni, a potem do kuchni, i tylko desperackim protestem Ł. zdołał w ostatniej chwili przekonać ją, by zmierzyla się wcześniej z pokojem trójwizyjnym, a usłyszawszy z uczuciem niebiańskiej ulgi, jak zrzędząc pod nosem, spełnia polecenie, przemknął się chyłkiem do sypialni, by zapaść między ścianę a szafkę, gdzie czekał z bijącym sercem na koniec katuszy, i kiedy nareszcie kobieta podawszy cenę sposobila się do wyjścia, przypomniał sobie, po co ją tu tak naprawdę wezwał, i panicznie krzyżąc zawrócił od progu sprzątaczkę nieco już podirytowaną dziwnym zachowaniem lokatora, a jeszcze bardziej zirytowaną, gdy ten wyznał nieśmiało, że rozbił automat sprzątający, która to irytacja była jednak o wiele słabsza niż przerażenie Ł., jakie poczuł, kiedy na pytanie sprzątaczkę, gdzie znajduje się robot, musiał odpowiedzieć spopielałymi wargami, że w sypialni, i pogrążył się w letargu, buntując się na najbardziej biologicznym poziomie przed przyjęciem do wiadomości, jak obok pojawia się nagle korpulentna sylwetka sprzątaczkę ciskającej z oczu gromy na widok nędznych resztek robota zwalonych w kącie, i coraz bardziej odcinał się od rzeczywistości, gdy następnie oprócz sprzątaczkę w jego sypialni pojawili się technicy i menedżerzy piętra, zadający nie mające odpowiedzi pytania i żądający niebotycznych kwot, aż wreszcie zasnął w tymże samym kącie obok szafki i szczęśliwie nie śnił nic przez całą czarną noc.

### 4.

Rano na sieciową skrzynkę Ł. wpłynął kolejny tekst do przełożenia, on jednak ledwo odnotował ten fakt, pogrążony w poszukiwaniu w zasobach Sieci jakiegokolwiek ratunku dla dręczącej go od lat, a ostatnio boleśnie skonfrontowanej z rzeczywistością nieśmiałości, lecz

choć oczy już go bolały, a palce puchły, wciąż nie mógł znaleźć żadnej interesującej oferty, wszystkie bowiem kursy i szkoły treningu interpersonalnego były albo zbyt drogie na jego możliwości, albo tylko pozornie tanie, o czym dowodnie się przekonał studiując regulaminy dostarczania co korzystniej wycenianych usług, gdzie zawsze w pewnym momencie okazywało się, że niska opłata wstępna nie obejmuje a to materiałów, a to wydania certyfikatu, a to znów pakiet podstawowy uczy zaledwie, jak rozróżnić, kiedy powiedzieć „Dzień dobry”, a kiedy „Dobry wieczór”, co samo w sobie byłoby dla Ł. sporą ulgą w życiu, lecz wolałby jej doznać w ramach szerszej oferty, a zresztą i prezentowane metody nauczania pozostawiały wiele do życzenia, obejmując techniki tak wątpliwe, jak wielomiesięczne angażowanie kursanta w dynamiczne komunikatorowe dyskusje, prowadzące do kulminacji, jaką miała być trzyminutowa rozmowa telefoniczna, lub, w ramach kursu intensywnego dla zaawansowanych, nękanie telefonami, znieawidzonymi przez Ł. do tego stopnia, że unikał ich jak ognia, o różnych porach dnia i nocy, tylko po to, by zakończyć się otwarciem przez kursanta drzwi i spojrzeniem nasłanemu przez szkołę egzaminatorowi w oczy, co wydawało się Ł. zwykłą stratą czasu, chciał bowiem raz-dwa i na dobre zostawić za sobą wszystkie kłopoty i zacząć wreszcie normalnie żyć, podobnie, jak za stratę czasu uznał właśnie przeszukiwanie zasobów sieciowych i miał już zarzucić próżny trud, kiedy w ostatniej chwili zauważył adres jednej ze szkół: Powinności Ludzkości 9673, Dystrykt Silesia, i zerwawszy się podbiegł do okna, po którego otwarciu mimo alarmowego brzęczyka wychylił się, aż dojrzał stary i niski pośród błyszczących wysokościorców budynek, siedzibę Akademii Łączności Międzyludzkiej, o której przeczytał więcej, kiedy już zamknął okno i wrócił kaszłący do komputera, by po wnikliwym zapoznaniu się z ofertą niedrogich a intensywnych kursów w ramach opatentowanej i błyskawicznej, choć nieco enigmatycznej metody „LB89”, gwarantujących pełną interpersonalizację kursanta albo zwrot dwustu procent wpłaconej kwoty, zdecydować, że to tej właśnie szkole zapłaci swoje ciężko zarobione pieniądze za doprowadzenie go do stanu jeśli nawet nie wysokiej, to przynajmniej podstawowej interpersonalności, i już miał pisać mejla, kiedy zdumiony stwierdził, że szkoła prowadzi zapisy wyłącznie osobiście, co tak go zdumiało, że zapomniał wyregulować pracującą na najwyższych obrotach po otwarciu okna klimatyzację i dopiero dużo później przenikliwy gong uświadomił mu, że przekroczył dzienny limit zużycia prądu i będzie musiał spędzić noc pocąc się w dusznym mieszkaniu.

## 5.

Po koszmarnej nocy nastał koszmarny poranek, wypełniony przygotowaniem do opuszczenia apartamentu, którego Ł. nie opuszczał, odkąd się tu wprowadził całe lata temu, obejmującymi głównie roztrząsanie różnych wariantów radzenia sobie z niebezpiecznymi sytuacjami, jak na przykład burczenie w brzuchu w razie niezjedzenia posiłku lub wymiotowanie w razie przejedzenia się, a także planowanie sposobów stawienia czoła nieuniknionym wyzwaniom, jak zaopatrzenie się w maskę tlenową u portiera na dole czy złapanie taksówki na ulicy, co zajęło Ł. tyle czasu, że już miał zrezygnować i przełożyć eskapadę na następny dzień, kiedy od drzwi dobiegł brzęczyk i do mieszkania wbuczał automat sprzątający, w jednej chwili przypominając Ł. o całym upokorzeniu ostatnich dni, po którym to zimnym prysznicu Ł. niemal wykopał robota z powrotem na korytarz i w obawie, że znów stchórzy i koszmar będzie trwać kolejny dzień albo i bez końca, byle prędzej pobiegł do windy, kiedy nagle wyłonił się z niej młody mężczyzna, błysnął uśmiechem i zniknął w głębi korytarza, wprawiając w drżenie Ł., który już tylko siłą rozpędu wszedł do windy i stał tam przestraszony, zamyślony i przygaszony, dopóki ktoś z niższych pięter nie wprawił windy w ruch, co z kolei wprawiło Ł. w stupor, bo jechał oto ku światu po brzegi wypełnionemu ludźmi, choćby takimi, jak ci dwaj, co weszli na piętrze trzydziestym i

zmierzyli współpasażera dziwnym spojrzeniem, nad którym Ł. głowił się wciśnięty w kąt dopóty, dopóki nie uprzytomnił sobie ze zgrozą, że obaj mężczyźni na jego widok po prostu się spieszyli, co mogło znaczyć tylko jedno: mimo niskiego stopnia interpersonalności, byli w stanie spojrzeć obcej osobie prosto w twarz, po której to konstatacji Ł. pożałował, że opuścił apartament, nie potrafił bowiem wyobrazić sobie, do jakiej mocy spojrzenia będą zdolni ludzie na ulicy, drżąc więc czekał na tę nieuchronną a przeraźliwą chwilę próby, jaka nastąpi, gdy przyjdzie do opuszczenia budynku, gdy wtem już na piętrze siódmym do windy weszła para starszych ludzi, a ukryte za staroświeckim szklanym aparatem do korekty wad wzroku oczy kobiety przejęły mrozem całe jestestwo Ł., który stał jak skamieniały jeszcze chwilę po zatrzymaniu się windy na parterze i wybiegł dopiero wtedy, kiedy do środka zaczęli pakować się stali mieszkańcy i hotelowi goście, ustawiający się do windy w kolejce, bo jak się okazało, cały hol wypełniony był ludźmi i ich bagażami, zgromadzonymi tu jakby specjalnie po to, żeby się o nich i o nie ocierać i potykać, jak to czynił nieszczęsny Ł., ledwo uchylający przymrużonych oczu i niezdolny do przeprosin za podeptane stopy i walizki, do tego stopnia zapamiętały w ucieczce, że nie zauważył białego munduru i skończył zatrzymany ostrymi słowami: „Dziś pył zawieszony przekroczony dwudziestokrotnie, czy życzy pan sobie maski?”, a kiedy machinalnie skinął portierowi głową, już po chwili miał na twarzy filtr, za który nie był w stanie podziękować choćby uśmiechem, tylko ruszył prosto do służy i pożegnany beczliwym głosem z nagrania wypadł na ulicę, gdzie momentalnie opadł go nieznośny skwar, lecz odegnavszy chęć zawrócenia rozejrzał się wokół, by zobaczyć srebrzyste ławice samochodów przelewające się leniwie w migotliwych falach gorąca na jezdni zionącej oparami kipiącego asfaltu oraz tysiące ludzi chroniących się pod parasolkami, zmierzających ku budkom tlenowym, chowających się w budkach tlenowych, dobijających się do budek tlenowych, co tylko jeszcze mocniej uświadomiło mu, że gorące powietrze właśnie przeciska się przez filtr do jego nozdrzy, ale zagryzł zęby i podszedłszy do krawężnika przywołał taksówkę, która jednak nie przybyła, i dopiero klaksony dały mu do zrozumienia, że przy obecnym stanie zakorkowania to on musi się pofatygować do taksówki, a nie odwrotnie, wstąpił więc między rozżarzone samochody i po chwili z trudem aklimatyzował się w klimatyzowanej aż do przesady taksówce, której kierowca po usłyszeniu adresu zaśmiał się i zasugerował, że Ł. szybciej dotrze na miejsce piechotą, wywołując swym prowokacyjnie prześmiewczym tonem falę mdłości u Ł., który pozostał jednak nieugięty albo zbyt wykończony, by wsiąść, więc przyjąwszy do wiadomości ostrzeżenia taksówkarza co do przewidywanej wartości rachunku, rozsiadł się wygodnie, rozkoszując chłodem, aż zapadł w swoisty trans, z którego wyrwał go dopiero głos kierowcy informujący o dotarciu na miejsce i podający wysokość opłaty, co usłyszawszy Ł. miał już zaprotestować, ale usta zatkał mu szczegółowy wykaz pozycji do uregulowania, bez sprzeciwu wpisał więc wszystkie kody na podsunętym panelu fiskalnym i wyszedł z taksówki, rozglądając się niepewnie, by po dłuższej chwili dostrzec przez drżącą zawieszinę powietrza szyld Akademii Łączności Międzyludzkiej, niestety niezbyt szacowny, zwykłą niebieską plaketkę w prawie czarnym murze koło staroświeckich metalowych drzwi, ku którym podszedł z narastającym zdumieniem, nigdzie bowiem nie było widać ani budki strażnika, ani służy, i nieśmiało złapał za brudną klamkę, by uchyliwszy drzwi, przekonać się, że za nimi znajdują się kolejne drzwi, tworząc w ten sposób prymitywną ręcznie obsługiwaną służę, dokąd wszedł z duszą na ramieniu, nie widząc za mętną szklaną taflą drugich drzwi nic zachęcającego, pomimo czego wszedł jednak na korytarz, zatechły, ale na tyle odizolowany od zewnątrz, że można było zdjąć maskę, i rozejrzał się po zaniedbanym wnętrzu, nie mającym na pierwszy a i każdy następny rzut oka nic wspólnego z jakąkolwiek akademią, czemu przeczyły jednak strzałki z napisem „AŁM 3 p.”, za którymi Ł. ruszył po zakurzonych schodach na górę, rozmyślając ponuro, co tam zastanie, zdziwił się więc przyjemnie, kiedy trzecie piętro okazało się wysprzątane i udekorowane dziwnie rozrośniętymi jak na imitacje roślinami w donicach,

zieleniejącymi szczególnie bujnie obok eleganckich drzwi z szyldem Akademii, gdzie stanął i zamarł, czując nagle na sobie ciężar tych już podjętych i tych wciąż przed nim stojących decyzji, jak choćby przywitanie, miał bowiem do wyboru formalne „Dzień dobry”, luźniejsze „Witam”, petenckie „Można?” lub korne „Przepraszam, nie przeszkadzam?”, i stał tak pogrążony w smutnym rozprężeniu, dopóki drzwi nie otwarły się i nie stanęła w nich korpulentna fioletka o łagodnych oczach, przedstawiająca się jako A. i z uśmiechem tłumacząca, że nie jest pierwszym kursantem, o którego przybyciu musiała ją powiadomić kamera zainstalowana właśnie w celu informowania o nieśmiałyach klientach, co usłyszawszy Ł. nie wiedział, czy ma się z tym czuć lepiej czy wprost przeciwnie, dał się jednak zaciągnąć do niewielkiego gabinetu i usiadł w fotelu, drżącym głosem podając energicznej kobiecie swoje nazwisko, datę urodzenia, numery NIP, CIP, PIC i PSL, lokalizację materialną i wirtualną, status TKM w PIS oraz stosunek do służby obywatelskiej, co doszczętnie wyczerpało jego siły psychiczne, zwłaszcza wobec faktu, że przyjazne dotąd oczy fioletki stwardniały, kiedy poprosiła, nie, zażądała wręcz, by wyjaśnił powody chęci zapisania się na kurs interpersonalny, na które to pytanie miał z dawna przygotowaną odpowiedź, ale jak na złość w chwili, kiedy nadarzyła się okazja, by ją wyrecytować, poczuł, że nie wykrztusi słowa, gdyż obezwładniła go własna niemoc, a oczy kobiety świdrowały na wylot, pomieszczenie zrobiło się nagle ogromne, powietrze ciężkie, i miał już uciekać, kiedy nagle zmieniła się perspektywa, zatroskana twarz fioletki wypełniła całą wizję, a całą fonię jej słowa, których Ł. nie słyszał przez grubą koc słabości, ale domyślił się, że musiał zemdleć z nadmiaru wrażeń, wybełkotał więc standardowo, że wszystko w porządku, i z pomocą kobiety wrócił na fotel, a potem dał się ponieść fali wyznań i ledwo przystając, by zaczerpnąć oddechu, opowiedział jej o wszystkim: o samotności w odseparowanym od świata apartamencie, o kłopotach z pracą, o robocie, techniku i sprzętaczce, a wreszcie o upokorzeniu, jakim jest dlań każdy kontakt z drugim człowiekiem, na co A. kiwała ze zrozumieniem głową, a kiedy skończył, uśmiechnęła się doń promiennie i powiedziała coś o powszechnym problemie nowoczesnego społeczeństwa i o nowatorskich metodach resocjalizacji przynoszących ulgę milionom interpersonalnie dotkniętych na całym świecie, które to słowa Ł. chłonał z wdzięcznością, odnajdując w nich siebie, i słuchał tak wciąż błogo, godząc się po kolei na wszystkie klauzule i opłaty, i rozglądał się już nawet za panelem fiskalnym, gdy wtem fioletka przywróciła go boleśnie do rzeczywistości jednym krótkim zdaniem: „Płatne w gotówce”, a widząc szok na twarzy świeżo upieczonego kursanta, wyjaśniła elokwentnie a ogólnikowo, że taka jest polityka firmy i ona nic na to nie poradzi, ale jak dotąd żaden z klientów nie miał kłopotu z szybkim podjęciem gotówki w siedzibie Union Banku, zwłaszcza że stacja metra znajduje się dosłownie o krok, na co Ł. nie pozostało nic innego, jak skinąć głową, złożyć elektroniczny podpis pod umową i wyjść, wymieniwszy z A. bezpieczne bezdotykowe ukłony, na korytarz, a potem zejść po schodach i dalej na zewnątrz, gdzie skwar już zelżał, a ruch na ulicach zmalął, co pozwoliło Ł. podjąć decyzję, że pojedzie taksówką, niewiele teraz wolniejszą od zatłoczonego metra, a przynajmniej zapewniającą odosobnienie, więc zamachał i już po chwili odpoczywał zasłużenie na miękkim siedzeniu w drodze do Union Banku, który jak się okazało na miejscu, wbrew istnieniu bankowości sieciowej był zatłoczony do tego stopnia, że kolejki ciągnęły się od samego wejścia, więc Ł. nie miał wyjścia, jak tylko doczepić się do jednej z nich i wyobrażać sobie, że jest zupełnie gdzie indziej i z kimś zupełnie innym, co miało swoje złe strony, bowiem zamknięte oczy i narastająca senność nie pozwalały mu dostrzec, że bez przerwy ktoś się przedzeń wpycha, a kiedy wreszcie to dostrzegł, mógł jeno w bezsilnej złości zagryzać wargi, bo w postawie wpychaczy była jakaś straszna pewność siebie, której nie czuł się zdolny wyzwać na pojedynek, starał się więc tylko trzymać maksymalnie blisko stojącej przed nim od kilku chwil kobiety, ta zaś przez jakiś czas wierciła się z rosnącą irytacją, by nagle odwrócić się i wrzeszcząc na cały głos, naubliżać Ł. od molestatorów, co ze względu na

jej szkaradne rysy Ł. odczuł jako podwójną potwarz, toteż nic dziwnego, że wybuchnął z równą mocą, sam zarzucając kobiecie molestunek mężczyźni, a na dodatek bezczelne wpychanie się bez kolejki, co potwierdziło kilka stojących za nim osób w obecności wyrosłych jak spod ziemi ochroniarzy, w których oczach szalę na korzyść Ł. przeważała wątpliwa uroda ofiary rzekomego molestunku, i już po chwili Ł. z bijącym sercem stał o jedno miejsce bliżej stanowiska obsługi, z wyższością ignorując mrukliwe złorzeczenia kobiety dochodzące z końca kolejki, która to jednak kolejka wciąż pozostawała długa, co sprawiło, że kiedy Ł. znalazł się wreszcie przed operatorem, znów czuł przytłaczającą senność, co nie pomogło mu wyjaśnić, z czym przychodzi, zwłaszcza że podejmowanie gotówki nie było rutynową czynnością klientów banku, więc trochę trwało, zanim operator ustalił w końcu, co potrzebował ustalić, by oddać się na zaplecze po zwitek banknotów, których Ł. nie widział od lat, więc wychodząc z banku wciąż przyglądał im się z zaciekawieniem i dopiero, kiedy ktoś go potrafił, zorientował się, że ulica nie jest najwłaściwszym miejscem do przeliczania gotówki, tym bardziej że nadszedł już wieczór, więc Ł. czym prędzej schował pieniądze i przywołał taksówkę, lecz pozbawił się dobrego nastroju jednym głupim „Dzień dobry”, na które kierowca odpowiedział „Dobry wieczór” z nutką przygany na tyle wyczuwalną w głosie, że Ł. miał się za co w myślach łajać, jeszcze kiedy wspinał się po ciemnych schodach na trzecie piętro, gdzie zastał A. już zamykającą Akademię, co widząc, chciał wycofać się niepostrzeżenie, ale dostrzegła go i serdecznie zaprosiła do wnętrza, by, kiepsko ukrywszy rozczarowanie, iż zamiast metra wybrał taksówkę, przyjął pieniądze i poprosił Ł. o stawienie się nazajutrz o tej samej porze, na co przystał bez słowa sprzeciwu, choć miał dotąd nadzieję, że to raczej instruktor przyjdzie doń do apartamentu, i odczekawszy chytrze, aż A. pożegna go pierwsza, odpowiedział identycznie i z równie szerokim uśmiechem: „Miłej nocy, do jutra” i zszedł po omacku na dół, tylko po to, by stanąć przed zamkniętymi drzwiami na ulicę, co od razu przejęło go strachem, pohamował się jednak i wytłumaczywszy sobie, że A. lada chwila zejdzie za nim i coś poradzi, oparł się o ścianę i czekał, i czekał, i czekał w ciemności, póki nie nabrał stawiającej włosy dęba na głowie pewności, że A. już doń nie zejdzie, że opuściwszy budynek jakąś inną drogą, zostawiła go w tym ponurym ciemnym biurówcu na pastwę losu, i zwalczając płonną nadzieją uczucie narastającego przerażenia, wspinał się na trzecie piętro, by łomocząc w drzwi Akademii wywołać tylko echo, tłukące się po pustych korytarzach, a tak rozstrajające nerwowo, że kiedy bliski paniki odbiegł, pomylił klatki schodowe i wkrótce znalazł się w obcej części budynku, gdzie stęchlizna była jeszcze bardziej mdława, cisza głucha, ciemność głęboka, a myśli Ł. skołowane do tego stopnia, że zobaczywszy nagle bladą poświatę hen daleko, pobiegł ku niej bez zastanowienia i wpół drogi przewrócił się na jakimś twardym przedmiocie, po którym to upadku leżał długo z głową wypełnioną najstraszniejszymi wizjami i sercem ściśniętym jak jeszcze nigdy w życiu, aż wreszcie podniósł się niemrawo i zbliżywszy do poświaty, przekonał się, że to blask odbijający się od ściany, skrzyknął więc korytarzem w kierunku źródła światła i po chwili wyszedł na obskurny dziedziniec oświetlony pojedynczą lampą, dzięki której zobaczył przejście na kolejny dziedziniec, i zaczerpnąwszy nareszcie wdychalnego nocnego powietrza miał już iść, kiedy usłyszał przyciszoną rozmowę i dojrzał sylwetki dwóch zbliżających się mężczyzn, instynktownie zapadł więc w załom muru i przeczekał, dopóki nie znikną w korytarzu, skąd właśnie wyszedł, wciąż tocząc między sobą szeptaną rozmowę, której echo ledwo ucichło, a już podniósł się i udał na ponury opustoszały parking, gdzie do jego uszu dotarły odgłosy ruchu ulicznego, z równie ogromną zatem co nagłą ulgą popędził dalej, niepomny na wcześniejszy upadek, ku szlabanowi odgradzającemu go od gwarne go chodnika i już po chwili zatopił się w tłumie i szumie, otaczających go zewsząd, trafił bowiem na jedną z głównych arterii miasta, gdzie pod barwną spiralą gmachu giełdy mieszkańcy odreagowywali w chłodniejszym powietrzu nocy bezlitosny skwar dnia, samochody buchały muzyką, a ludzie śmiechem i

perfumami, upajając tą mieszanką wyposzczone zmysły Ł., który mijał w niemym zachwycie tryskającą życiem człowieczą tkankę miasta, wonne restauracje serwujące seryjne zainteresowanie i błyskające lokale oferujące anonimowość w standardzie, i szedł tak, chłonąc to wszystko całym sobą, wciąż dalej i dalej, z kłębiącymi się pod czaszką doznaniem, aż nagle czyjaś ręka złapała go za ramię, a brzydkie przekleństwo zginęło w ryku klaksonu pędzącego autobusu, który cisnął Ł. w twarz gorącym podmuchem i zostawił przebudzonego na krawędzi przejścia dla pieszych przy opustoszałym skrzyżowaniu otoczonym pogrążonymi w ciemnościach budynkami, z jedną znikającą za rogiem osobą, bez śladu tłumów i dźwięków wprawiających go w trans, po wytrąceniu z którego Ł. znów poczuł ciemność i samotność tamtego biurowca, więc rozejrzał się gorączkowo i dostrzegłszy w dali kształt przystanku autobusowego, a na nim sylwetkę człowieka, podszedł doń gryząc nerwowo paznokcie z zamiarem zapytania, gdzie się znajduje, ale wtem dostrzegł w dłoni siedzącego dziwną białą rurkę, którą ów na widok Ł. zaraz ukrył w dłoni, by przyjrząwszy się jednak zdezorientowanej minie podchodzącego, wyjąć ją z powrotem i wypuścić smrodliwy dym, co widząc Ł. nabrał podejrzeń, że lepiej trzymać się od tego indywidualium na dystans, i jakby nigdy nic zabrał się do studiowania rozkładu jazdy, przeżywając jedno rozczarowanie za drugim, bo nie dość, że ostatni autobus na Powinności Ludzkości właśnie odjechał, to na domiar złego za chwilę miał odjeżdżać ostatni autobus aż do jutra rana, niestety, w zupełnie obce rejony, choć wcale nie bardziej obce, niż te, w których Ł. znajdował się teraz, nie miał więc innego wyjścia, jak podjechać przynajmniej do najbliższego węzła komunikacyjnego, dlatego z niewielkim tylko wahaniem wsiadł wraz z podejrzanym mężczyzną do autobusu, gdzie oprócz nich znajdował się tylko jeden pasażer, drobna kobieta, siedząca obok automatu do pobierania opłaty za przejazd, nad którym Ł. stał stropiony kilka minut, nic nie pojmując z dostępnych opcji, by wreszcie przełamać się i poprosić kobietę o pomoc, ale wtedy autobus zatrzymał się i wsiadło dwóch kontrolerów, którzy widząc Ł. stojącego przy automacie powzięli uzasadnione podejrzenie, że mają do czynienia z gapowiczem grającym na zwłokę i zażądali od Ł. natychmiastowego uiszczenia kary, na co ten zaczął protestować, tłumacząc, że od lat nie jeździ autobusami i nie wie, co zrobić, ale kontrolerzy przyjęli te tłumaczenia besserwiskim uśmiechem i już grozili Ł. interwencją policji, kiedy kobieta wstała i ujęła się za nim, potwierdzając, że wyglądał na kompletnie zdezorientowanego i prosił ją o pomoc, co słysząc kontrolerzy machnęli ręką i pokazali przestraszonemu Ł., jak zapłacić za przejazd, a nawet doradzili, gdzie wysiąść, żeby znaleźć się jak najbliżej Powinności Ludzkości, za co podziękował im skinieniem głową i rozejrzał się za kobietą, lecz ze smutkiem odkrył, że wysiadła już wcześniej, nie usłyszawszy należnych podziękowań, co wprowadziło go w melancholijny nastrój, w jakim dał się wieść, dopóki nie został sam, autobus nie zatrzymał się na dłużej, a kierowca nie potrząsnął nim, ogłaszając: „Proszę wysiadać, koniec trasy”, który to koniec okazał się zarośnięta pętla pod mrocznym lasem, gdzie w powietrzu wisiało mniej niezdrowego pyłu, za to więcej niepewnego nastroju, dlatego wstrząsany dreszczem Ł. wrócił do autobusu i zapytał, jak trafić stąd na Powinności Ludzkości, co kierowca przyjął zdziwionym śmiechem, tłumacząc przestraszonemu Ł., że są daleko poza miastem, a na Powinności Ludzkości nie jedzie stąd żaden autobus, i dobijając Ł. stwierdzeniem, że do centrum jest wiele godzin piechotą, więc Ł. zaczął prosić o zabranie go stąd obojętne gdzie, byle do miasta, na co kierowca zrazu nie chciał się zgodzić, tłumacząc, że na kursie do zajezdni nie może zabierać nikogo, lecz w końcu nalegania Ł. przekonały go i zabrał pechowego pasażera ciemnym autobusem poprzez puste ulice ku miastu, by wysadzić go wreszcie przy alei Buzka, i poinformowawszy, że Buzka przecina się z Powinności Ludzkości, odjechał, zostawiając Ł. na chodniku, wzdłuż którego ciągnęły się zamknięte o tej porze biurowce, odbijające echo śmiechów i rozmów, co zrazu podniosło Ł. na duchu, ale szybko zmienił zdanie, kiedy zorientował się, że odgłosy pochodzą od podejrzanых band na rogach uliczek, przeszedł więc w miejscu niedozwolonym na drugą stronę i szybkim krokiem



ruszył przed siebie, w kierunku parku, który odgradzał go od dalekich świateł dużego skrzyżowania, i kiedy otoczyły go stare drzewa, zadrzał i wbił ręce w kieszenie, w okamgnieniu przeistaczając się z osoby zaniepokojonej w przestraszoną, a potem przerażoną, gdy poczuł w dłoni banknot pozostały po zapłacie dla Akademii, który wręcz parzył i zdawał się przebijać przez cienki materiał spodni z daleka widoczną emanacją i przyciągać wszelkiej maści rabusiów i rzezimieszków, więc Ł. przyspieszył kroku, i mimo że wiedział, iż jego zachowanie robi się coraz bardziej podejrzane, po chwili biegł już najszybciej jak potrafił, byle prędzej opuścić park i trafić między ludzi, kiedy nagle jakiś styk w jego mózgu zaiskrzył i w całej okazałości ukazała mu się perfidna intryga A. i jej mocodawców z całej tej Akademii, która musiała być nastawiona na wyłudzenie pieniędzy od łatwowiernych klientów, więc z tego właśnie powodu żądali gotówki, chcąc usunąć wszelkie ślady transakcji, a przy okazji unikając opłacenia podatków, akcyzy i składek, drzwi zaś zamykali, teraz to zrozumiał, przypomniawszy sobie dwóch podejrzanych mężczyzn, by rzucić kursantów na pastwę mordercom, a z pieniędzmi umknąć jak najdalej, zakładając kolejne szkoły, w którym to momencie intelektualnego triumfu uprzytomnił sobie, że kwota, jaką zapłacił, choć dla niego samego niebagatelna, nie była warta takiego ryzyka, więc park opuścił z głową jeszcze bardziej skołowaną i stanął na skrzyżowaniu z Powinności Ludzkości, oświetlonym feerią barw bijącą z ogromnego centrum handlowego, dokąd natychmiast skierował swe kroki, czując raptem ssący głód, który tylko się wzmógł, gdy w oczy rzuciły mu się szyldy fast foodów oferujących popularne kuchnie: wietnamską, albańską, tajską, czukocką, kalifornijską, uzbecką i burkińską, a na końcu rzędu stoisk coś, czego nie znał: wspólny szyld reklamujący kuchnię celtycką, germańską i słowiańską, przyciągający uwagę także z powodu młodych ludzi krzątających się w dziwnych strojach pośród niby-drewnianych dekoracji, podszedł więc z ciekawości, a ponieważ minę miał tęskną i zdezorientowaną, od razu zagadnęło go hoże dziewczę z blond warkoczami, w koralach i haftowanym stroju, i polecilo danie o obco brzmiącej nazwie „bigos sojowy”, które zaakceptował z braku lepszego pomysłu i ledwo zdążył wystukać na zgrabnie przybranym niby-słomą i niby-polnym kwieciami panelu fiskalnym swoje kody, a już otrzymał niby-glinianą misę pełną dymiącego smakowicie jada, i usiadłszy przy niby-drewnianej ławie spałaszował je w kilka chwil, co nie uszło uwagi obsługi, bo już po chwili przy Ł. pojawił się tęgi chłopak w spodniach na szelkach, białych skarpetach i z kapelusikiem na głowie i zaproponował kielbasę na gorąco w sosie curry, a Ł., po bigosie sojowym mając do lokalu pełne zaufanie, chętnie na to przystał i nie zawiódł się do tego stopnia, że po ostatnim kęsie z żalem musiał odmówić miodowych placków owsianych z cynamonem na deser od chłopaka w kraciastej spódniczce, nie był już bowiem w stanie zmieścić niczego więcej, zgodził się jednak na szklanekę czegoś o nazwie „piwo”, i sącząc gorzkawy napój słuchał kojących dźwięków ludu zażywającego godziwej rozrywki na zakupach i patrzył, jak przelewają się tłumy, aż obfity posiłek przestał mu ciążyć, i choć ciągnęło go pochodzić po supermarkecie, wyszedł na gwarną ulicę i postój taksówek, z których skorzystanie przez moment rozważał, by jednak prędko porzucić ten pomysł, zbyt bowiem dobrze czuł się spacerując niespiesznie w stronę apartamentowca, zatopiony w niezwykłym nastroju tworzonym przez wesołych ludzi i wolno przejeżdżające samochody oraz muzykę dochodzącą z dyskotek, jakich w tej części miasta było zatrzęsienie, jedna bardziej tętniąca życiem od drugiej, ale wkrótce zaczęło go suszyć po słonym posiłku, rozglądał się więc za sklepem czy knajpką, aż wreszcie przy którejś z dyskotek zobaczył mały ogródek kawiarniany, gdzie zamówił szklaneczkę soku z duriana i usiadł przy stoliku, podsłuchując rozmowy siedzących obok półnagich a pulchnych seledynek i platynek śmiejących się z żartów i komentarzy jeszcze pulchniejszych chłopaków o łysych czaszkach pomalowanych na oranż i granat, kiedy nagle przechodząca, z pozoru identyczna, grupa młodzieży na widok ekipy w ogródku stanęła jak wryta, a potem przewracając stoliki rzuciła się z wściekłym rykiem na, co wynikało z obopólnych

nieartykułowanych wrzasków, odwiecznych i śmiertelnych wrogów, nie bacząc, że w ogródku siedzi też osoba najabsolutniej jak to możliwe neutralna, czyli Ł., który w ostatniej sekundzie zanurkował pod stół i trzymając go kurczowo za nogi, zdołał przetrwać najgorszą kotłowaną, póki nie zaczęły się zbliżać policyjne syreny, a fala uciekającej młodzieży nie porwała go ze sobą do dyskoteki, przebijając się przez bramki i rozpraszając w rozwygibasowanym tłumie, ale nie na długo, bo gdy tylko do sali wkroczyła policja, a ochrona rozpoczęła sprawdzanie wejściówek, uczestnicy bijatyki zaczęli pospołu wyciekać jeden po drugim za głośniki w kącie sali, a wraz z nimi Ł., nie dość, że także pozbawiony wejściówki, czyli z gruntu podejrzany, to jeszcze z osobliwym szumem w głowie, ułatwiającym jednak o dziwo bieg przez wąski korytarz, a może tylko znieczulającym na bolesne uderzenia sprzętów go zastawiających, ku wyjściu, dokąd prowadził Ł. fosforyzujący pomarańczowy czerep wyprzedzającego go chłopaka, który gdy tylko znaleźli się na zagraconym dziedzińcu, chwycił Ł. za koszulę i choć ledwie nastoletni, przyparł go do muru, wrzeszcząc do kamratów, że złapał szpiega, na co Ł. szarpnął się i w niewybrednych słowach poradził grubasowi iść w swoją stronę, a kiedy ten przyskoczył z piąstkami, byłby mu pewnie przyłożył, gdyby nie policja, czy raczej światła policyjnych latarek błyskające z korytarza, co widząc uciekinierzy zerwali się do biegu, a Ł. zapadł pomiędzy stare pudła i tam przeczekał pościg, po czym dysząc ciężko pobiegł na drugi kraniec dziedzińca, gdzie przejście prowadziło na parking, a stamtąd na tyły domu handlowego, w którym czynnych było nadal kilka sklepów, umożliwiając Ł. przemknięcie z powrotem na ulicę i zatopienie się w tłumie daleko od feralnego ogródka, ale niedaleko dzielnicy apartamentowców, co Ł. zarejestrował z mieszanymi uczuciami, bo choć chciał wziąć kąpiel i zaznać kojącej ciszy po przedłużającym się pobycie w dzielnicy dyskotek, to podekscytowanie, jakie czuł przez ostatnie minuty, wciąż przyjemnie buzowało mu w żyłach, nadając jego krokom sprężystość, a postawie wyniosłość, z którą czuł się dobrze jak nigdy, więc im bliżej był swojej dzielnicy, tym bardziej zwalniał, aż wreszcie, kiedy chodniki opustoszały, odwrócił się i ostatnim spojrzeniem ogarnął lśniący świat pulsującej w rytm ciał muzyki, dokąd zamierzał niebawem wrócić po następne wyjątkowe przeżycia, i z tą myślą odwracał się, by podjąć wędrówkę do domu, gdy wtem spostrzegł dziwny ruch w pobliskim zaułku i usłyszał stłumione głosy, pobrzmiwające strachem i groźbą, a kiedy podszedł, z przerażeniem ujrzał dwóch mężczyzn trzymających trzeciego i żądających odeń wydania kodów, co nieoczekiwanie wprawiło Ł. w tak straszną wściekłość, że był gotów z miejsca ruszyć na bandytów, i tylko rozsądek kazał mu się zastanowić, cofnął się więc i zaczął gorączkowo rozważać, czy sprowadzić policję, lecz to mogło zabrać zbyt wiele czasu, czy wołać pomocy, ale to z kolei mogło odstraszyć bandytów, a nawet pchnąć ich do ostateczności, czy też może samemu dać im radę, w którym to momencie na parkingu po drugiej stronie zobaczył staroświecki kanciasty samochód z długą anteną, niewiele zatem myśląc przebiegł przez ulicę i już po chwili pędził z powrotem z zaimprovizowaną, acz srogą bronią w dłoni, by jak burza wpaść w zaułek i bez ostrzeżenia smagnąć bandytów metalowym prętem po grzbiecie, i znów, i jeszcze raz, aż zaczęli błagać o litość, ale widząc w oczach Ł. bezmiar okrucieństwa, wnet czmychnęli jęcząc w głąb zaułka, gdzie Ł. porzucił pościg i rozejrzał się za napadniętym, po którym nie było ani śladu, więc wrócił napakowany dumą na parking i przykręcił antenę z powrotem, lecz patrząc na żałośnie pogięty pręt, poczuł wyrzuty sumienia i zatknąwszy za wycieraczkę banknot, chciał czym prędzej uchodzić, by nie ponieść konsekwencji zniszczenia cudzego mienia, gdy usłyszał wypowiedziane pełnym wdzięczności głosem: „Dziękuję”, a odwróciwszy się ujrzał młodego mężczyznę ze swojego piętra, który wczoraj, a może rok temu, uśmiechnął się doń wychodząc z windy, tak jak uśmiechał się teraz, wywołując znów w Ł. tamto drżenie, ale tym razem także nieodpartą potrzebę odwzajemnienia uśmiechu, w którym Ł. przestraszonego, zamyślnego i przygaszonego zastąpił Ł. zdecydowany, pewny siebie i rozogniony, po czym ruszyli w kierunku apartamentowca, a kiedy nieco później Ł. i S. rozstawali się na korytarzu

swojego piętra, jak gdyby znali się od lat, obaj wiedzieli, że rozłaka nie potrwa długo, więc dobrze złożyło się dla Ł., iż pokojowy z nocnego dyżuru był człowiekiem bywałym i wiedzącym, co należy czynić w takiej sytuacji, bowiem już kilka minut od zapytania Ł. w jego apartamencie znalazła się butelka schłodzonego szampana wraz z instrukcją obsługi, którą Ł. przeczytał w wannie, a kiedy odświeżony ubrał się i wypachnił, postanowił dać S. jeszcze trochę czasu i włączył komputer, lecz chociaż od razu zauważył wiadomość z Akademii, najpierw na zimno sprawdził stan konta, a widząc brak wpływu, napisał do firmy translatorskiej asertywnego w tonie mejla, zapowiadając, że do czasu uregulowania zaległych honorariów nie wykona dla nich żadnego zlecenia, by dopiero potem zerknąć, co A. miała w imieniu Akademii do powiedzenia, i nie zdziwił się wcale, przeczytawszy, że wierzy, iż terapia szokowa odniosła skutek, tylko pogwizdując wyłączył komputer i zabrawszy szampan, poszedł do S.

6.

Nawet wiedział, jak przywitać go po przebudzeniu.